

EKOMASKIROWKA BERLINA, CZYLI PROPAGANDA W SŁUŻBIE NIEMIECKIEJ ENERGIEWENDE [ANALIZA]

Niemcy – największy globalny konsument węgla brunatnego, największy europejski emitent dwutlenku węgla, państwo ociągające się z dekarbonizacją i walczące z praktycznie bezemisyjną energetyką jądrową – zdołały przekonać świat, że są „zielone”. Udało się to głównie dzięki wyśmienitej propagandzie. Oto trzy przykłady jej działania, zaczerpnięte prosto z książki Jakuba Wiecha „Energiewende. Nowe niemieckie imperium”.

Niemiecka transformacja energetyczna – Energiewende – uchodzi za nowoczesną drogę do ratowania klimatu i „zielonych” przemian gospodarczych. Tak brzmi oficjalna wersja, budowana przez lata wysiłkiem kolejnych ekip sprawujących władzę w Berlinie. Jednakże dokładniejsza analiza Energiewende pokazuje, że jej wizerunek to w przeważającej mierze dzieło propagandy. Realny kształt niemieckiej transformacji znacząco odbiega bowiem od jej obiegu opinii.

„Niemcy się dekarbonizują”

Wizja Niemiec jako kraju, który skutecznie odchodzi od węgla jest szczególnie szeroko rozpowszechniona przez propagandę Energiewende. Pewne jej odpryski widać nawet w wypowiedziach polskich polityków – kilka dni temu poseł Adam Szejnfeld wrzucił na swojego Twittera film, w którym zachwalał niemiecką transformację energetyczną opartą na źródłach odnawialnych, twierdząc jednocześnie, że Polska będzie wkrótce ostatnim krajem spalającym węgiel.

Na razie Polacy nie muszą obawiać się samotności, bo w procederze tym jeszcze przez długie lata będą im towarzyszyć Niemcy.

W grudniu ubiegłego roku światowe media obiegły zdjęcia z uroczystej ceremonii zakończenia wydobywania w ostatniej niemieckiej kopalni węgla kamiennego. Wydarzenie to zaowocowało szeregiem nagłówków (m.in. w polskiej edycji portalu Deutsche Welle) głoszących, że w RFN „końca dobiegła era węgla”. Takie stwierdzenie jest biegunowo odległe od prawdy – w Niemczech kończyło się jedynie wydobywanie tego surowca, przemysł i energetyka przestawiały się na paliwo z importu. Dla środowiska decyzja o zamknięciu kopalń pozostała praktycznie bez znaczenia – węgiel kamienny będzie spalany w niemieckich piecach jeszcze długo.

Jak długo? Dobre pytanie. Choć tzw. komisja dekarbonizacyjna, która działała w RFN od czerwca 2018 do stycznia 2019 roku ustaliła, że Niemcy wyjdą z węgla najpóźniej za 19 lat, to jednak dane dotyczące zużycia tego surowca u zachodniego sąsiada Polski nie przystają do tych planów – sytuacja wygląda szczególnie nieciekawie w przypadku węgla brunatnego.

Wystarczy jeden rzut oka na wykresy dotyczące ilości wyprodukowanej w RFN energii elektrycznej, by zorientować się, że Niemcy wytwarzają z węgla brunatnego praktycznie tyle samo energii, ile wytwarzali w 1992 roku. Przez prawie 30 lat Berlin nie zrobił nic, by ograniczyć podaż energii z tego

wysoce emisyjnego surowca, którego RFN jest największym światowym konsumentem. Nad Łabą spala się ok. trzy razy więcej tego paliwa niż w Polsce.

Co więcej, jak wynika z projektu niemieckiego planu na rzecz energii i klimatu (który powstał przed zakończeniem prac przez komisję dekarbonizacyjną), RFN zamierza spalać węgiel jeszcze co najmniej do 2050 roku. Z tego samego dokumentu wynika, że w Niemczech w roku 2040, a więc dwa lata po teoretycznym dekarbonizacyjnym *deadline*, z węgla będzie się generować więcej energii elektrycznej niż obecnie w Polsce.

Jednakże dzięki tworzeniu odpowiedniej otoczki medialnej, Niemcom udało się przekonać świat, że od węgla skutecznie odchodzą (albo może już odeszły).

„Energiewende ma na celu ratowanie klimatu”

Ocalenie Ziemi od katastrofy klimatycznej to cel przyświecający wszystkim „zielonym” transformacjom energetycznym, zmierzającym m.in. do porzucenia wytwarzania energii z paliw kopalnych. Nie inaczej jest w przypadku Energiewende. Jednakże niemiecki model transformacji zakłada równoczesne odejście od energetyki jądrowej, która jest jedynym dużym, skalowalnym i praktycznie bezemisyjnym źródłem energii.

Postulaty polityki energetycznej Niemiec stoją w sprzeczności z ustaleniami Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu, który stwierdził w swym raporcie, że energetyka jądrowa jest potrzebna do zahamowania globalnych wzrostów średniej temperatury.

Tymczasem, Berlin chce nie tylko zamknąć własne jednostki jądrowe (ma to nastąpić już w 2022 roku), ale też przeciwdziałać finansowaniu budowy podobnych elektrowni z funduszy Unii Europejskiej (co zapisane jest w umowie koalicyjnej CDU/CSU-SPD).

Warto podkreślić, że pozbawiony energetyki jądrowej profil systemu elektroenergetycznego promowany przez RFN, złożony z odnawialnych źródeł energii wspieranych gazem, nie należy do najbezpieczniejszych. Przekonali się o tym sami Niemcy kilka tygodni temu - w czerwcu bieżącego roku niemiecki system elektroenergetyczny trzykrotnie otarł się o tzw. blackout, czyli rozległy, poważny zanik zasilania. Konieczne były ogromne ratunkowe importy energii zza granicy.

Innym zagrożeniem tworzonym przez niemiecki profil systemu jest generacja tzw. przepływów kołowych, które stwarzają niebezpieczeństwo dla krajów sąsiadujących, m.in. Polski.

Trzeba zauważyć, że na wspieranie źródeł odnawialnych Niemcy do 2022 roku wydadzą 680 miliardów euro (tak powiedział minister gospodarki RFN Peter Altmaier), wyciągniętych z kieszeni obywateli w postaci tzw. EEG Umlage, czyli specjalnej opłaty zawartej w niemieckich rachunkach za prąd dla odbiorców indywidualnych. Za tę kwotę Niemcy mogłyby wybudować dostatecznie dużo elektrowni jądrowych, by zasilac się w pełni czystą i bezpieczną energią.

Ale promowanie wychodzenia z atomu ma dla Berlina ukryty cel polityczny - wygaszanie bloków jądrowych w Europie (zwłaszcza w jej środkowej i wschodniej części) zwiększy popyt na gaz, którego Niemcy będą mieli pod dostatkiem dzięki dwóm gazociągom Nord Stream. RFN już teraz eksportuje rocznie ok. 30 mld metrów sześciennych błękitnego paliwa.

„Nord Stream 2 jest apolityczny potrzebny dla bezpieczeństwa energetycznego Europy”

Zapewnienia dotyczące apolityczności i niezbędności Nord Stream 2 dla bezpieczeństwa energetycznego Europy są notorycznie powtarzane przez Niemców i Rosjan. Nie mają one jednak pokrycia w faktach.

Dowodem na pozaekonomiczny sens budowy podbałtyckich gazociągów jest przede wszystkim to, że obecnie istniejąca lądowa infrastruktura przesyłowa jest wykorzystywana maksymalnie w 70%. Po co zatem inwestować potężne środki w nowe rury, które w dodatku trzeba kłaść na dnie morza, gdy istniejąca infrastruktura daje jeszcze możliwość zwiększenia przesyłu? polityczność Nord Stream 1 i Nord Stream 2 jest widoczna i bez analiz technicznych. Wystarczy spojrzeć na mapę, by dostrzec, jaką korzyść odnosi rosyjska polityka dzięki budowie tych połączeń. Chodzi mianowicie o ominięcie tradycyjnych krajów tranzytowych (przede wszystkim zaś: Ukrainy, z którą Rosja jest w stanie faktycznej wojny).

W tym momencie podkreślić należy, że Niemcy dopięły z Rosjanami deal na Nord Stream 2 pomimo wywołanej przez Rosję wojny na wschodzie Ukrainy, Anchlussu Krymu, zestrzelenia samolotu MH17, próby otrucia Skripala czy incydentu w pobliżu Cieśniny Kerczeńskiej – o ślepotę Berlina na te wydarzenia wspomnieli dobitnie ambasadorowie USA w swym liście do niemieckich władz.

Polityczną stronę projektu pokazuje też raport opublikowany przez bank inwestycyjny Sberbank CIB. W dokumencie tym przeczytać można, że kluczowe projekty gazowe, którymi Gazprom chce opleść Europę (Nord Stream 2 i Turkish Stream) zwrócą się dopiero na przestrzeni kilkadziesiąt lat, przecząc tym samym logice biznesowej. Oznacza to, że Rosja, angażując się w ten projekt, szuka innego rodzaju zysków. Chodzi oczywiście o korzyści polityczne, polegające m.in. na możliwości wywierania wpływu gospodarczego na kraje uzależniające się od dostaw błękitnego paliwa realizowanych przez Niemcy.

Co więcej, uruchomienie gazociągu Nord Stream 2 sprawi, że Rosja, która już teraz jest największym dostawcą gazu do Unii Europejskiej, jeszcze bardziej umocni swoją dominację na tym polu, umożliwiając tworzenie lub kontynuowanie lokalnych monopolii. Stoi to w sprzeczności z postulatami polityki energetycznej UE, które zakładają m.in. dywersyfikację dostaw surowców energetycznych.

Dlaczego zatem Berlin tak ochoczo wspiera Rosję w realizacji projektu drugiego podbałtyckiego połączenia? Wynika to z niemieckiej chęci zbudowania własnej pozycji gospodarczej i politycznej dzięki sile rosyjskich surowców. Centrale położenie RFN na europejskiej mapie predestynuje ten kraj do roli centralnego hubu dystrybucyjnego. Pozycja ta jest wzmocniona dzięki dobrze rozwiniętej niemieckiej infrastrukturze przesyłowej, czyli przede wszystkim sprawnymi interkonektorami. To wszystko sprawia, że Niemcy są w stanie zaprzęgnąć rosyjski gaz do budowy własnej pozycji politycznej i gospodarczej – surowiec ten trafia do nich bowiem bez żadnych pośredników i w ogromnych ilościach. W dodatku, dobre relacje z Rosją sprawiają, że Berlin płaci za błękitne paliwo bardzo atrakcyjną cenę (niższą niż m.in. Polska, która jest przecież geograficznie bliższa Rosji). RFN trzyma zatem rękę na kurkach z gazem, ma wpływ na jego ceny, może na nim zarabiać.

Biorąc powyższe pod uwagę, widać wyraźnie, że Energiewende nie jest proekologiczną transformacją energetyczną, a jedynie pomalowanym zieloną farbą kompleksowym planem budowy nowych politycznych i gospodarczych wpływów Berlina w Europie.

Powyższy artykuł został napisany w oparciu o fragmenty książki Jakuba Wiecha „Energiewende. Nowe niemieckie imperium”. Książka dostępna jest w przedsprzedaży w [sklepie internetowym Defence24](#).